Cena egz. 20 gr.
Rok I. Bochnia, dnia 15 lutego 1935 Nr. 5.

ECHO

Organ młodzieży szkół średnich w Bochni i Wieliczce.

ŚWIĄTKÓWNA STANISŁAWA kurs IV Sem. w Bochni.

W trzydziestoletnią rocznicę pracy naukowej prezydenta prof. Ignacego Mościckiego.

Dzień 7 grudnia był prawdziwem świętem dla polskiego świata kulturalnego. Cała Polska w dniu tym, manifestowała swą radość i niosła hołd Temu, który obchodził rocznicę trzydziestoletniej pracy naukowej.

Dzień ten był zarazem dniem dumy narodowej dla nas Polaków. Ten wielki uczony, światowej już dzisiaj sławy, niósł wysoko sztandar polskiego inteligenta i naukowca w oczach zagranicy i On właśnie stoi przy sterze polskiej nawy narodowej. Gdy rzucić okiem w najbliższą przeszłość naszej Ojczyzny, nasuwa się nieodparcie ciekawa refleksja.

Opatrzność zesłała nam dwóch mężów na miarę genjuszów. Jeden z nich, genjalny wódz i strategik, wyswobodził przez zbrojny czyn Polskę, zakutą półtora wieku w kajdany wraże i wydarł ją potem ze szpon bolszewickiego najeźdzcy, drugi to obecny nasz prezydent Ignacy Mościcki, potentat wiedzy.

Dziś, kiedy patrzymy na trzydziestoletnią działalność naukową profesora Mościckiego, podziw najwyższy nas ogarnia wobec ogromu Jego genjuszu i tej stalowej wytrwałości, jaka jest zawsze cechą charakteru ludzi władczych. Ludzie ci, przynoszą w dorobku intelektualnym więcej społeczeństwu, niż miljony innych. To ludzie, o których pisze nasz wieszcz narodowy — że imie ich miljon, gdyż walczą za miljony, wyrywając naturze tajniki jej potęgi i niosąc je w darze biednej ludzkości.

Prezydent, profesor Ignacy Mościcki to nietylko genjalny odkrywca, ale zarazem zręczny polityk, oraz gorący patrjota, mający przedewszystkiem dobro Polski na oku. Przez ośm lat swych rządów, tak szczęśliwie kieruje naszem państwem, że w porównaniu nawet z innemi mocarstwami jak Angją, Francją i Stanami Zjednoczonemi, jesteśmy, że tak powiem poza nawiasem kryzysu, że nie upadamy, jak inni, choć na ziemiach naszych szalał najdłużej orkan wojny światowej, ale stale idziemy wzwyż, zdumiewając świat wspaniałym rozwojem Gdyni, lotnictwa, świetnie wyposażoną armją. W lwiej części jest to zasługa obecnego naszego prezydenta, który wszystkie swe siły wytęża, by Polsce zapewnić i przywrócić jej mocarstwowe stanowisko.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka szczegółów z życia tego wielkiego człowieka. Urodził się w r. 1863 w Mierzejowie, w ziemi płockiej, a więc pod byłym zaborem rosyjskim. Studja średnie skończył w Warszawie, zdradzając wielkie zamiłowanie do nauk przyrodniczych, a głównie do fizyki i chemji. Już wtedy, w duszy młodego gimnajzalisty marzyły się wielkie odkrycia, już wtedy bacznie obserwował naturę. Studja wyższe odbył Ignacy Mościcki w sławnym wówczas uniwersytecie ryskim, zaprawiając się do przyszłej pracy naukowej. Tam też, interesował się żywo życiem narodowem Polski, które ze zrozumiałych powodów nosiły charakter konspiracyjny. Po powrocie do Warszawy, bierze czynny udział w pracy nad wyrwaniem Ojczyzny z hańbiącej niewoli. Z tego też powodu, chroniąc się przed prześladowaniem zaborcy, opuszcza Warszawę w r. 1892, udając się do Londynu. Tu dalej kontynuuje swą pracę naukową a równocześnie nie zaniedbuje spraw politycznych. Tu w Londynie spotyka się i poznaje przyszłego Oswobodziciela Polski Józefa Piłsudskiego. Węzły przyjaźni wiążą odtąd tych wielkich budowniczych dzisiejszej, mocarstwowej Polski.

Z Londynu udaje się do Szwajcarji i tu w Fryburgu pracuje w roli asystenta na tamtejszym wydziale fizyki i chemji. Daje się poznać, jako wytrwały, nieustraszony badacz, zyskuje sobie najwyższe uznanie profesora oraz budzi podziw kolegów asystentów. Tu w Szwajcarji pokusiła się myśl młodego i odważnego inżyniera

by wydrzeć potęgę piorunom. Kapitał szwajcarski, drobny i szukający łatwych, doraźnych zysków nie odważył się zaryzykować strony finansowej badań, którąby ułatwiła prace doświadczalne. Zdany wręcz na własne siły, przeprowadza doświadczenia głównie nocami, gdyż potrzebując prądu o napięciu tysięcy woltów, nie mógł pozbawić miasta przed godziną dziesiątą energji elektrycznej. Koledzy z zazdrością i podziwem patrzyli na tą tytaniczną pracę, na stalowy spokój badacza, który z opanowaniem, wprowadzającym ich w podziw, chodził koło swych maszyn, gdzie jedno nieostrożne posunięcię, jeden ruch nieodpowiedni groził natychmiastową śmiercią.

Tą samą pewność i opanowanie podziwiamy dziś w tylu, wymagających największej zręczności i bystrości umysłu, posunięciach politycznych prezydenta Mościckiego.

Prace naukowe prowadzone z zaparciem siebie, z najwyższym naddatkiem sił, uwieńczył pomyślny rezultat.

Dziś metodą profesora Mościckiego umiemy otrzymywać kwas azotowy z wody i azotu, czerpanego z powietrza przy pomocy olbrzymich tarcz, o bardzo wysokim woltarzu. Nie jesteśmy zdani wyłącznie na skąpe, naturalne złoża saletry. Azot, mający tak szerokie zastosowanie praktyczne w produkcji nawozów sztucznych, oraz nitrocelulozy, potrzebnej do celów wojennych i kopalnianych, umie dzisiaj człowiek otrzymywać z powietrza, dzięki nieśmiertelnemu wynalazkowi genjalnego badacza i odkrywcy. Kapitał szwajcarski stoi teraz do dyspozycji, okrytemu sławą inżynierowi. Buduje się w Szwajcarji fabryki typu inżyniera Mościckiego. Niestrudzony wynalazca pracuje dalej, ulepsza swą metodę, zyskuje coraz szerszy rozgłos. Rosja zwraca się doń z prośbą, aby się zajął organizacją fabrykacji amunicji, Szwajcarja niesie Mu niemniej zaszczytne propozycje. Ignacy Mościcki porzuca jednak nęcące projekty i pragnie przedewszystkiem pracować w ojczystym kraju. Powrócił zatem do kraju i objął katedrę we Lwowie. Tu zakłada Instytut Elektrotechniczny i wraz z innymi pracuje nad rozwiązaniem dalszych problemów.

W r. 1922 po odzyskaniu Ślaska, rząd polski powierzył Mu kierownictwo w fabryce w Chorzowie.

Z całym zapałem i zasobem doświadczenia zabiera się do pracy i uzyskuje wspaniałe rezultaty. Chorzów, który dotychczas znajdował się w rękach administracji niemieckiej, stale przynosił miljonowe deficyty skarbowi niemieckiemu, a teraz, o dziwo, przynosi olbrzymie zyski skarbowi polskiemu. Zyski liczące się w setki miljonów rocznie. A trzeba dodać, że fabryka chorzowska produkowała azotniak, tak bardzo potrzebny naszemu rolniczemu krajowi, który to nawóz sztuczny poprzednio byliśmy zmuszeni sprowadzać z zagranicy, pogarszając tem i tak już chwiejny bilans. Te bajeczne wprost wyniki nie przyszły jednak łatwo profesorowi Mościckiemu. W początkach pracy nasuwało się tyle przeszkód, że ustępujący wówczas zarząd niemiecki, złożył wprost na ręce niemieckiego rządu relację, że Polacy wkrótce poproszą ich o dalsze prowadzenie fabryki. Trzeba było borykać się z wprowadzeniem nowej metody w fabryce, która dotąd pracowała przestarzałym systemem, trzeba było też szukać nowych inżynierów, robotników, gdyż dawni podburzani przez dyszące zawiścią jednostki, nie cofali się przed atakami sabotażu, byle tylko utrudnić pracę genjalnemu inżynierowi.

Pokonał jednak wszystko, będąc wszędzie, pracując za dziesięciu. Drugą podobną fabrykę zorganizował w Knurowie na Ślasku. Prace naukowo-badawcze kontynuuje w przeniesionym ze Lwowa do Warszawy Chemicznym Instytucie Badawczym.

Dnia 1 czerwca 1916 r. Zgromadzenie Narodowe powołuje Go na przezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Teraz czas upływa wielkiemu uczonemu między sprawami politycznemi a badaniami naukowemi, któremi się żywo interesuje, mimo tak olbrzymiego i trudnego zadania, jakie dźwiga na swych barkach, jako pierwszy obywatel Rzeczypospolitej.

W r. 1928 wyrasta pod Tarnowem nowa fabryka systemu prezydenta profesora Mościckiego, dziś głośne jnż na całą Polskę Mościce. W organizowaniu tej nowej placówki polskiego przemysłu był pomocnym profesorowi Mościckiemu ówczesny minister skarbu Kwiatkowski.

Dziś, kiedy patrzymy na ten ogrom trzydziestoletniej pracy wielkiego uczonego a zarazem polityka, podziw i duma rozpiera polskie serca. Trudno się kusić, by w tak prostym i krótkim opisie podać całość twórczości wielkiego Wynalazcy, Uczonego i Polityka.

Profesor, prezydent Mościcki rozwiązał niesłychanie ważkie zagadnienie, o kolosalnem znaczeniu praktycznem, zwłaszcza dla krajów rolniczych, jak Polska.

Z serc polskiej młodzieży płynie ku Najwyższemu Dostojnikowi państwa hołd głębokiego uwielbienia.

BOGUSŁAW STANKIEWICZ, kl. V. P. G. w Wieliczce

W drodze na Sybir.

Śnieżna równina, na niej wiatr swobodnie
Wieje i pędzi śnieżne tumany.
Przez tę równinę popędza przed sobą
Sznur ludzi żołdak moskiewski pijany.
Świst knuta miesza czasem z wyciem wichru,
Przekleństwo łączy z modlitwy szeptami
I gna przed sobą — hen — do tajg Sybiru
Tych, co niedawno byli powstańcami.

— — — — — — — — — — — — — —

Czasem któryś zostanie bez sił na równinie
I wzrokiem towarzyszy pożegna bez słowa.
Już go batog żołdaka do marszu nie zmusi,
Bo już czeka na niego śmierć chłodna — lodowa.
Wiatr go śniegiem przykryje i wnet niema śladu,
Nikt bliski na mogile jego nie zapłacze,
Czasem tylko wilk wyciem przerwie poszum wichru,
Lub, czując świeże ciało, kruk złowrogo kracze.

Śnieżna równina, na niej wicher wieje,
Szumi, napełnia powietrze jękami;
Przez tę równinę wloką się powoli
Ci, co niedawno byli powstańcami.

„Pitraś"

W 72 rocznicę powstania styczniowego.

„Ileż to razy ciebie przeklinano, a z tobą marzeń zdradliwych ponętę!
Za każdą świeżą z ręki wroga raną, zawsze wracało twe imię—przeklęte"! *(A. Asnyk)*

Za każdą świeżą raną, po każdym nowym akcie rusyfikacji odruchowo wstawała krwawa mara powstania zgnieconego, zdeptanego pod posiew Hurki czy Apuchtona. Wracała ta mara, w której widziano przyczynę wszystkich późniejszych klęsk.

A teraz pytanie: Czy powstanie styczniowe mogło się było stać zwycięstwem? Entuzjaści mówią „tak" bo gdyby cały naród był chwycił za broń, zwycięstwo przypadłoby nam w udziale. Ale nam brakło tego, czego brakło i w poprzednich powstaniach. Już wcześniej bo w roku 1831 piętnuje to nasze stanowisko młody, ale doskonały krytyk M. Mochnacki w wydanej przez siebie książce p. t. Powstanie narodu polskiego w r. 1830. Oto jak charakteryzuje autor nasze próby odzyskania niepodległości: „Zawsze w początkach zapał wielki, powszechny, wszystko ogarniający w narodzie, wszystko porywający z sobą, nieprzełamany, niczem niezwyciężony. W każdem powstaniu poświęcenie, porywczość, śmiałość, posuwająca się nieraz do płochości, też same cnoty osobiste i publiczne. Ale zarazem obok tego, te same przyczyny upadku sprawy, zawsze pomyślnie zaczętej, zawsze potem niedołężnie kierowanej, ginącej zazwyczaj nieładem".

Popatrzmy tymczasem, jak wyglądało to powstanie: sądzę, że z jego przebiegu będzie można dać odpowiedź na pytanie: czy naszym powstaniom brakło tego, na co wskazuje wspomniany autor?

Bezposrednim powodem powstania była t. zw. branka, zarządzona przez obawiającego się jakichś z naszej strony buntów — Wielopolskiego. Celem tej branki było unieszkodliwienie podejrzanych o spiski, przez wcielenie ich do armji rosyjskiej. Termin jej był jednak trzymany w tajemnicy. Gdy jednak w dniach od 17 do 20 stycznia przystąpiono rzeczywiście do realizacji branki, widział się Komitet Centralny zmuszonym do rzucenia, hasła: „powstanie". Stało się to 22 stycznia 1863 r. Ale jak trudne było położenie powstania, bezbronnych prawie, kryjących się po lasach przed tropiącym ich wrogiem. A tu znikąd pomocy, Komitet w swej kasie posiadał zaledwie 400.000 złotych, które były zbyt małą kwotą aby uzbroić za nie około 10.000 młodzieży powstańczej, wśród której zaledwie kilkudziesięciu posiadało jakieś stare dwururki i ojcowskie szablice. Liczono wprawdzie na pomoc zbrojną ze strony Francji i innych państw zachodnich, ale to było bardzo zawodne.

Tymczasem jednak robiono, co tylko było w mocy, aby jakoś utrzymać tę garstkę. Brakowało powstańcom wyszkolonych oficerów, więc Mierosławski zdołał przy pomocy rządu włoskiego utworzyć szkołę podchorążych w Genui, która wydała 200 oficerów.

Komitet Centralny zaś chcąc porwać i lud wieśniaczy, wydał 22 stycznia manifest, czyniący „wszystkich synów Polski" wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ale lud nie porwał się na to wezwanie.

Tymczasem już 23 stycznia powstańcy rozpoczęli walkę partyzancką, napadając na pomniejsze garnizony. Przerażony nagłem uderzeniem wróg, cofał się i skupiał w większych miastach. Gdy jednak ochłonął z tego chwilowego przerażenia, rozpoczął nawet dość skuteczną walkę z powstańcami, A przeważał ich liczebnie kilkakroć Uległ więc Mierosławski, który mianował się dyktatorem i wielu wielu innych. Fortuna sprzyjała początkowo tylko Langiewiczowi, ale z chwilą, gdy ogłosił się po Mierosławskim dyktatorem zmieniło się jego szczęście, bo wróg z większą gwałtownością i siłą zaczął na niego napierać, aby zgnieść jawnego wodza powstania. Tymczasowy Rząd Narodowy uzupełniony reprezentantami str. Białych, zaczął organizować na terytorjum Galicji zbrojne oddziały pod wodzą doświadczonych oficerów.

Teraz dopiero powstanie wybuchło z całą siłą a płomień jego ogarnął całe Królestwo, Litwę a nawet i Ruś częściowo.

Była to najjaśniejsza chwila w powstaniu, bo i rządy zagraniczne zaczęły w naszej sprawie interwenjować wydały nawet Rosji notę. Ale ta interwencja właśnie na tem tylko się skończyła. Rosja ogłosiła w odpowiedzi na notę amnestję dla powstańców, którzy złożą broń. Z amnestji tej nikt jednak nie miał zamiaru korzystać. Toteż Rosja rozpoczęła teraz z powstańcami walkę bezwzględną. Wysłała w tym celu 2 generałów Murawjewa i Berga, dając im władzę niczem nieograniczoną. W. ks. Konstanty i Wielopolski otrzymali dymisję. Nawet im Rosja nie dowierzała.

Powstańcom tymczasem udało się kilkakroć pokonać Rosję. Najznaczniejszem zwycięstwem była wygrana pod Żyrzynem, gdzie Heidenreich zdobył nietylko działa, ale i kasę wojenną.

I znowu liczono na pomoc Francji, która teraz, jak zwykle zresztą zawiodła. Wreszcie następuje okres dyktatury Romualda Traugutta, który dotychczas prowadził partyzantkę w pińskim. Była to postać naprawdę najpiękniejsza w tem powstaniu. Celem tego nowego dyktatora było zorganizowanie oddziałów partyzanckich w jedną zwartą armję powstańczą. Ale różne były przeszkody na drodze ku realizacji tego zamysłu. Główną z nich była zbliżająca się ostra zima, a co z tem idzie wielkie trudności w wyżywieniu tak wielkiej grupy ludzi. Aotеż oddziały ginęły od kul nieprzyjacielskich, mrozu i głodu. Poległ dzielny Czachowski, Hanke musiał uchodzić zagranicę, bohaterski ks. Mackiewicz dostał się do niewoli i zginął powieszony — a z jego śmiercią upadło powstanie na Litwie i Żmudzi.

Jeden generał Traugutt, dyktator niezmordowany,

stał na stanowisku, choć zostawał coraz bardziej sam, choć ziemia usuwała mu się z pod nóg a w dłoniach rwały się ostatnie nici organizacji.

Wreszcie 10 kwietnia, późną nocą, zabrano Traugutta. Legenda głosi, iż gdy otworzył oczy ze snu i ujrzał stojącą dookoła policję i żandarmerję, powitał ich jednym żapytaniem „To już?". Przyszło to już dla niego tej nocy; dla jego sprawy nadeszło już wcześniej,

Schodził z widowni ostatni żołnierz. Cztery miesiące trwało śledztwo. Traugutt nie zapierał się swego imienia, ani swego stanowiska. Zdumionej komisji śledczej oświadcza, że cały Rząd Narodowy, którego z takim uporem szukano, to on, on jeden; że on jeden był duszą i mózgiem najcięższego okresu tej wojny, której nie mogli zdławić.

Nadszedł wreszcie dzień kaźni. Dla upozorowania, że tracą cały Rząd Narodowy, stracono wraz z Trauguttem czterech działaczy powstańczych: Krajewskiego, Toczyskiego, Żulińskiego i Jeziorańskiego.

Na czele prowadzono Traugutta. Szedł na śmierć z tą samą twarzą, z którą przeszedł życie. Szedł teraz ten granitowy człowiek między szeregami wrogów, wśród tłumu rodaków, za honor których ginął.

Dobosze uderzyli w bębny, wojsko sprezentowało broń.

Traugutt modlił się.

Skończono czytanie wyroku.

Zdala — z miasta dobiegała uszu skazańca wesoła melodja marsza wojskowego. To wróg dawał wyraz swej radości z odniesionego zwycięstwa.

Za chwilę zawiśli na szubienicy skazańcy. Jęk wielki wstrząsnął tłumem, nie zmogła go ani muzyka wojskowa, ani warkot bębnów.

Szedł on za duszą dyktatora, która po spełnieniu „twardej Bożej służby", biegła ku ukochanym ostępom litewskim na wytchnienie po trudach.

Rok 1866 pogłębił naród w najstraszliwszej niedoli, ale ocalił dumę narodową. Czy jest więc racja potępiania tych, którzy wywołali to powstanie? Nie! stanowczo nie! Musieli to uczynić, bo ucisk i upodlenie narodu polskiego wzrastały z dnia na dzień.

A teraz pytanie dlaczego powstanie to nie zakończyło się naszem zwycięstwem? Dlatego, że liczyliśmy zabardzo na pomoc zagranicy, dlatego, że powstanie nie objęło wszystkich warstw narodu, że brakło mu fachowego kierownictwa tak politycznego jak i wojskowego — wkońcu i dla tego, że zastało nas nieprzygotowanymi, bo wybuchło zawcześnie, przed czasem.

Więc czy możemy odnieść do tego powstania to, co o poprzednich mówił i pisał Mochnacki? Tak! niestety. Błędy były te same i zemściły się na nas strasznie.

My Polacy jednak nie straciliśmy wiary i chwilowe niepowodzenia, straszny teror nie zagłuszyły w nas myśli o odzyskaniu niepodległości. Nie! Myśl ta zamieniła się w czyni dziś możemy z dumą powiedzieć, że nietylko żyjemy w wolnej Odrodzonej Polsce, ale i to, że kroczymy w czołowej grupie narodów.

STANISŁAW FERENC VIII a. Państw. Gimn. w Bochni.

Nowe oblicze W. Berenta.

Wacław Berent należy do tych pisarzy, którzy zajmują specjalne stanowisko w naszej literaturze. Twórczość jego odrębna, posiadająca wybitne piętno indywidualistyczne, przejawiające się w niedoścignionym mistrzostwie słowa, jest zbyt trudna dla przeciętnego czytelnika. Z tych głównie powodów Berent jest mało znany. Odosobnienie w jakiem się znajduje nietylko nie przynosi mu szkody, lecz przeciwnie dowodzi wysokiej rangi jego twórczości. Tę właściwość twórczości Berenta-artysty tj. niedostępność — można odnieść i do Berenta-człowieka. O ile bowiem chodzi o dane biograficzne to naprawdę ciężko zebrać je wyczerpująco. Musimy się więc ograniczyć do najogólniejszych dat z życia Berenta.

Wacław Berent urodził się w r. 1873, poświęcając swe życie powieściopisarstwu, a tylko krótko oddawał się naukom przyrodniczym będąc asystentem katedry biologji w Monachjum. Jako pisarz zadebiutował wydaną w r. 1894 pod pseudonimem Wł. Rawicza nowelą „Nauczyciel". Odtąd twórczość jego rozwija się i daje w kolejności „Fachowca", „Próchno", „Oziminę" i „Żywe kamienie" (1918). Prócz tego pisze rozprawy i studja, np. O źródłach i ujściach Nitzscheanizmu. Znakomitą pozycję w literaturze zdobył sobie oczywiście przedewszystkiem dziełami powieściowemi wspomnianemi powyżej. Każde z tych dzieł w szczególności od „Próchna" począwszy, było prawdziwym ewenementem w życiu literatury polskiej. O ile bowiem początkowe utwory młodzieńcze „Nauczyciel" i Fachowiec" posiadały dość znaczne niedociągnięcia o tyle „Próchno" wskazywało, że do Panteonu pisarzy polskich wchodzi postać nowa a potężna. Późniejsza „Ozimina" i „Żywe Kamienie" mniemanie to potwierdziły w zupełności. Obecnie już nikt nie wątpi, że Wacław Berent należy do najwybitniejszych twórców współczesnych, a dowodem tego uznania są nagrody jakie otrzymał za całokształt swej twórczości m. Warszawy w r. 1929 oraz państwową w r. 1933. Ostatnio powołany został w poczet członków nowoutworzonej Polskiej Akademji Literatury, w której pracach bierze żywy udział.

Przechodząc teraz do samej twórczości Berenta wypada stwierdzić rzecz jedną. Ocena krytyczna tej twórczości jest prawie u wszystkich bardzo dodatnia i identyczna w podkreślaniu tych samych cech. Berent uznany za stylizatora, za mistrza formy oraz wirtuoza słowa zatracił się, zaginął jako pisarz społeczny o wyczulonym zmyśle moralno-społecznym. Być zresztą może, że chronoligiczna przynależność dzieł Berenta

do okresu w którym hasło „sztuka dla sztuki" stało się dogmatem zmyliła, zbiła z tropu krytyków, tembardziej, że wszelkie pozory przemawiały za raz powziętą koncepcją. Takie bowiem bogactwo języka i takie mistrzostwo w jego władaniu, były wystarczającą legitymacja dla pisarza i już same przez się stanowiły o nieprzeciętnej wartości dzieła. Nowsze badania krytyczno-literadzkie (J. E. Płomieński: Szukanie Współczesności) ukazują w sposób wyraźny i zdecydowany „Nowego Berenta" — Berenta pisarza społecznego dla którego ówczesne modne hasło „sztuka dla sztuki" nie było jedyną normą i który w tęczowych barwach słów potrafił ukryć równie głęboką ideę. Dotychczasowy Berent to tylko stylizator — Nowy to artysta, u którego problemy treści odgrywają taką samą rolę co problemy formy. Badania te odsłaniają nowe oblicze Berenta, kładąc główny nacisk na tę stronę bogatej jego twórczości, która dotąd była niedoceniana przez krytykę zauważając, że Berent „czarodziej stylu i języka utrudniał sam spoufalenie się czytelnika ze swoją głęboką problematyką społeczną" i dalej, że „krytyka potykała się również o te szkopuły, dając jednostronne komentarze... akcentując mylnie jako zagadnienie centralne jego artyzm".

Trzy główne utwory Berenta a to „Fachowiec", „Próchno" i „Ozimina" są dowodami społecznego nastawienia berentowskiej twórczości. Wprawdzie najwyraziściej rysuje się nam jego nowe oblicze w „Oziminie" — niemniej i „Fachowiec" i „Próchno" stanowią ważne pozycje w kształtowaniu się jego poglądów. Najsłabszy artystycznie „Fachowiec" utwór młodzieńczy miał być w intencji autora aktem oskarżenia skierowanym przeciw pozytywizmowi, przeciw doktrynerskiemu pojmowaniu hasła „pracy organicznej", a w wykonaniu stał się jedynie obrazem tragedji jednostki słabej, nieorjentującej się należycie w możliwościach społecznej energji, którą każdy winien stawić do dyspozycji społeczeństwa, w granicach swego powołania i odpowiedniej specjalności zawodowej. Już jednak „Próchno" czasowo tylko o 5 lat odległe od „Fachowca", pod względem artystycznym przewyższa go zdecydowanie. Brak tu zupełnie tej niedojrzałości artystycznej spotykanej w „Fachowcu", brak tego niestosunku między intencjami autora, a ich artystycznem wcieleniem, a natomiast widnieje doskonałość znamionująca arcydzieło. Próchnem jest sztuka i literatura dekadencka, którą Berent chłosta bezlitośnie. Jest to tem dziwniejsze i podkreślenia godne, że Berent sam należąc do modernistów gwałtownie sprzeciwia się jedynowłactwu estetyzmu w życiu, wykzzując jego aspołeczny charakter. Zagadnienie dekadentyzmu nie poraz pierwszy wypłynęło w literaturze. Poruszył go już Leo Belmont „W wieku nerwowym" i później Henryk Sienkiewicz w „Bez dogmatu". Próchno jest więc dalszem ważkiem ogniwem w łańcuchu dzieł przedstawiających powolne narastanie etapów dekadentyzmu aż do krańcowej psychozy. Typy wprowadzone do „Próchna" to ludzie żyjący wyłącznie sztuką, zatracający poczucie rzeczywistości, typy patologiczne, gotowe potargać najświętsze węzły dla zadowolenia tej chimery — sztuki, która jakże często przypomina jakiegoś okrutnego Molocha.

Rosowski, Jelsky, Müller, Hertenstein — oto galerja jakże wymowna! Dla nich świat istnieje tylko poto by dać im podstawę do tworzenia, reszta ich nie obchodzi. Borowski, wspaniały aktor ciągle gra. Otaczający go ludzie to publiczność teatralna. Ten stan nienaturalny, to przebywanie ciągle jakby w narkozie sztuki, czyni z niego w krótkim czasie kabotyna — zgrywającego się i budzącego litość. Nie lepiej jest z innymi. Taki Müller subtelny poeta czy arystokrata ducha i rodu, muzyk — kompozytor Hertenstein, kończą samobójstwem. Widać z tego, że takie jednostki są bezwględnie aspołeczne, że w zdrowych, myślących o przyszłości społeczeństwach, nie mogą być tolerowane. Zaznaczył tu Berent swoje stanowisko pisarza społecznego, tylko pośrednio wykazując, że tak pojęta sztuka miast organizować życie społeczne, dezorganizuje je, a zatem jest szkodliwą. O ile jednak „Próchno" tendencje społeczne autora wyraża, że tak powiem negatywnie — pokazuje bowiem jaka sztuka jest społecznie szkodliwa — to „Ozimina" problemem społecznym zajmuje się pozytywnie, bezpośrednio. Tłem jest polska rzeczywistość u wrót wojny rosyjsko-japońskiej (1905) r.) wraz ze swemi nadziejami, bólami i walkami. Fabuła czasowo zamknięta okresem jednej nocy, toczy się od salonów potentata warszawskiej finansjery barona Niemana na ulicę, dając pełny przekrój życia polskiego w czarnych, brutalnych barwach malowany. Znana już zdolność Berenta do wywoływania nastroju niesamowitego, makabrycznego i tutaj znajduje swój wyraz.

Czytając „Oziminę" jest się stale pod wrażeniem tej chorobliwej nienaturalności bohaterów, wywołującej niejednokrotnie wstrząsy odrazy i lęku. Skalpelem chirurga-pisarza, odsłania Berent już nie próchno sztuki, ale próchno życia. Oto chwila jest ważna, być może epokowa, należy się jakoś do tego ustosunkować, coś zrobić, coś przedsięwziąć! Kto wie co kryje bliska przyszłość. Tymczasem pan baron Nieman przyjmuje gości w swoim salonie i radzi z nimi. Powstają projekty, wnioski, następują długie wywody i wreszcie gorączkowe poszukiwania za jakąś formułą kompromisową, by wszystkich zgodzić, by wszyscy byli zadowoleni.

Tak się pracuje dla Ojczyzny!

Główny bohater — o ile tu można użyć tego wyrażenia — Bolesław Zaremba, Don Juanik buduarowy umiera, poprostu umiera ze strachu, że mu każą iść na wojnę. Ten, który z taką odwagą i pewnością siebie atakuje serduszka dziewczęce, boi się zetknąć z bagnetami, czuje się zupełnie złamanym na samą myśl o tem. I ocyywistem jest, że taki, chyba w chwilach krytycznych na wiele społeczeństwu się nie przyda! Przeciwieństwem jego jest stary powstaniec, jeszcze z 1831 r. Komierowki przedstawiciel lat dawnych, kiedy to walczyło się o idee własnem ramieniem, kiedy

rozlana własna krew pieczętowała dzieło. Lecz cóż-to było dawniej: Obecnie Komierowski jest tylko symbolem, chodzącym anachronizmem, przy którym karle postacie Niemana, Zaremby i ich świata wydają się jeszcze niższe i bardziej odstręczające. Nie lepiej przedstawiają się i kobiety. Wszystkie, to natury miękkie, histeryczne, bez jakiejkolwiek myśli czy idei, godne partnerki takich, jak Zaremba kochanków. Jedna Wanda, bojowniczka o wolność, przedstawicielka „ludzi podziemnych“ to typ człowieka wartościowego wśród tych kobiet, które żyją tylko swojemi sprawami i sprawkami, przepuszczając wszystko przez filtr swych zmysłów i nerwów. Tak więc wygląda ten świat polski, świat wyższy, elita z której winno wychodzić wszystko co najlepsze w społeczeństwie!

Takiemu wizerunkowi przeciwstawia Berent pułkownika rosyjskiego, którego czyni wyrazicielem swych poglądów. Czyni to z pełną świadomością dojrzałego artysty, zdając sobie sprawę, że oddanie tej roli Polakowi wypaczyłoby jego zamiary. Tylko obcy, Rosjanin, o umyśle chłodnym, racjonalistycznym — bez tego defektu duchowego ówczesnego pokolenia i patosu rewolucyjnego „ludzi podziemnych“, mógł objektywnie wydawać sąd o społeczeństwie polskiem. A sąd ten, identyczny z sądem autora, był bardzo surowy! Ale Berent był zbyt dobrym obserwatorem, zbyt głęboko wnikał w treść życia zbiorowego, by nie widzieć w nim pewnych dobrych oznak, które rozwinięte w przyszłości, mogły przynieść zbawienie Ojczyźnie. Oto jest jeszcze lud i proletarjat miejski. Tam leży przyszłość, tam spoczywa nieskalany ideał wolności; „Ludzie podziemi“ ze swoją wiarą, żądzą czynu, są tą częścią narodu, skąd postępująca regeneracja ogarnie całe społeczeńswo. Dla nich Polska — to nie mit, to nie jakaś ofiara Chrystusowa, jak chciał romantyzm — lub synonim minionej dawności — jak ją pojmował świat ówczesny, ale żywą konkretność, najbardziej rzeczywista rzeczywistość.

Tak interpretowana „Ozimina“ stawia Berenta w rzędzie pisarzy walczących o Polskę historyczną, w rzędzie piewców państwowości polskiej obok St. Wyspiańskiego i St. Żeromskiego.

Na zakończenie podkreślić wypada, że taki charakter twórczości Berenta, czcka na dalsze studja, na dalsze badania, umożliwiające oglądanie w pełni blasków, przebogatej twórczości wielkiego artysty.

Czytajcie i rozpowszechniajcie „ECHO“!

ZBIGNIEW ASANKA-JAPOŁŁ, VIII a P. gimn. w Bochni.

Po nagrodę w „Halamówce“.

(Dokończenie)

Puścił swe towarzyszki naprzód, sam zaś jechał niezbyt szybko, gdyż różne myśli nasuwały mu się, że trudno mu było się z nich otrząsnąć.

Jakiż dziwny zbieg okoliczności — pomyślał! Irmi, jego dziecinna miłość, jeszcze z lat „cielęcych“ znalazła się tutaj! Takie i podobne refleksje napływały mu wciąż do głowy, że nawet nie spostrzegł, jak stracił z oczu swe towarzyszki. Zerwał się więc na swych deskach żywo, odbijając się kijkami, popędził, aby zrównać się z Irmi i jej koleżankami. Przejechał już koło „Oazy“ (kawiarnia-dancing dla kuracjuszy) i wjechał na Dziechcinkę, skąd wreszcie zobaczył swe towarzyszki podchodzące do góry. Zrównał się więc z niemi, a one zaczęły go wypytywać, gdzie się to zawieruszył! Zagapiłem się nieco, odparł, ale musimy wziąć większe tempo, bo już wnet zacznie szarzeć, a do domu jeszcze spory kawałek drogi. — Przystanęli pod stromem wzniesieniem, a Julek radził odpiąć narty i drapac się do góry dla pośpiechu „per pedes“. Sam szedł pierwszy torując drogę, aż dotarli do wielkiej polany. Tu tonem dowódcy komenderował, aby przypięły narty. Teraz szybkość swą zwiększył tak, iż dzielił ich jeszcze jeden kilometr, — ale „nieszczęścia chodzą po ludziach“, tak też i Irmi złamała... nartę, wjechawszy w rów. Julek spostrzegłszy jej nieobecność, zawrócił, a zobaczywszy zarytą w śniegu pomógł się jej wygrzebać. — Co też ty Irmi wyprawiasz, zagadnął, i... odpiąwszy swą nartę, przypiął jej, sam zaś sobie przymocował złamaną i obiecawszy deskę zreperować, skierowali się do schroniska.

Stanąwszy przed domem gdzie mieszkała Irmi pożegnał ją, przyrzekając nazajutrz przynieść zbitą nartę blachą, a równocześnie poprosić ich opiekunkę, aby pozwoliła im przyjść na zawody i zabawę, porozumiawszy się uprzednio ze swym profesorem. Pożegnawszy ją i koleżanki, skierował się do domu. — Czuł się niezmiernie szczęśliwym! Boże, jak cudny jest ten świat! Oby życie moje usłane było podobnemi chwilami — westchnął pełen zachwytu. — Przybył w sam raz na kolację. Udał się zaraz do opiekuna, zdawszy dokładnie raport ze swej wyprawy, nie zapominając i o swych sąsiadkach! — No — dobrze, dobrze, zaczął profesor — Tylko, aby nie było za dużo „amorów“ — ale i słowa te wypowiedział z przyzwyczajenia, gdyż znał swego wychowanka, jako chłopaka rozsądnego i zrównoważonego. — Udał się teraz do jadalni, gdzie liznął nieco kolacji, nie jadł wiele, gdyż syty wrażeń, chciał zostać sam na sam ze sobą, aby je mógł przetrawić. Położył się więc zaraz do łóżka momentalnie zasypiając, znużony całodzienną gonitwą...

Nazajutrz po śniadaniu, zbijał blachą deskę Irmi. Gdy naprawił, udał się by oddać ją właścicielce i zaprosić oficjalnie na imprezę, której był inicjatorem.

— — — — — — — — — — — — —

Nadszedł dzień zawodów. — Julek wysmarowawszy narty, stanął wśród swych współzawodników na starcie. Sędziowie byli wszyscy na stanowiskach, trasa biegu oznaczona chorągiewkami, zawodnicy gotowi do biegu,

OLGA STASIAKÓWNA kl. VI gimn. pryw. w Bochni.

Nasze hasło.

Gdy wchodzimy do klasy szóstej, rzucają się nam w oczy słowa wypisane na widocznem miejscu: „Stwarzaj radość i zadowolenie". To hasło tej wesołej, pełnej temperamentu klasy. — Lecz nie wszystkie mają uśmiechnięte oblicza; w oczach niektórych przebija się smutek i przygnębienie. Te dopiero szukają radości. W życiu dotychczasowem nie znalazły zadowolenia. Naszym celem jest właśnie stworzenie w szkole atmosfery miłej, serdecznej, radosnej tym, które nie wynoszą jej z domów.

Jak wyobrażam sobie radość? Radość jest szczęściem, ale nie ta szalona w wirze zabaw, tańca, rozrywek, ale radość wewnętrzna, cicha, słodka, wypływająca z własnego zadowolenia; radość co promieniuje, a innym słodzi życie. To radość idealistki. — Lecz każdy w czemś innem ją znajduje. Proponuję więc, by na łamach naszego pisemka otworzyć dyskusję, na temat radości życia.

Radości trzeba szukać. A gdzie — zapyta każdy. — Według mnie wszędzie. W każdem życzliwem podaniu dłoni wyciągniętej do nas w chwili zobojętnienia. Radością dla nas ma być nasz zapał, ideały, wiara w siebie i ludzi, wiara w dobro. Gdy patrzymy na otaczającą nas przyrodę, na kwiaty, krzewy, drzewa; gdy słyszymy śpiewy ptaków, szum lasu, odczuwając dobroć i potęgę Boga to zda się nam, że słyszymy w tym gwarze życia głos wołający ku nam: „radość jest wszędzie tylko jej poszukajcie".

stali z przypiętemi „rumakami" na starcie... Padł strzał!! Bieg rozpoczęty!!! — Julek nie wytężał swych sił na początek starał się jednak, aby go nie wyprzedzono zbyt daleko. — Miał jednego groźnego przeciwnika w Józku! — Choć będę i drugi — pomyślał — nie stracę chyba w oczach Irmi. — Ale ambicja przemawiała do niego inaczej: dlaczego drugi, a nie pierwszy! Józek pędził po śniegu, jakby chciał wszystkie wiatry przegonić, tak, że Julek prężył siły, by mu tylko dorównać. Ale Józek pochodzący ze wsi górzystej, jazdę na nartach miał opanowaną, tak, iż zdawało się, że Julek nie powinien się nawet mierzyć z nim. — Nadszedł gorący moment finiszu! Julek gnał jak wicher i chwilami zdawało się, iż już prześcignął rywala — dzieliło ich jeszcze z półtora kilometra od mety. Zbigniewicz nie dawał za wygraną, zwłaszcza gdy spostrzegł, że Józek „puchnie". Wytężył więc ostatki swej energji i gnał jak samolot challengeowy, tak, iż przeciwnik nie mógł nadążyć teraz ambicji Julka, który w swym pędzie... prerwał jako... pierwszy taśmę mety! Zerwała się burza oklasków, licznie zgromadzonych widzów. Opiekun pierwszy dostąpił i pogratulował zwycięstwa, bohaterowi dnia! Irmi wśród tłumów przedzierała się w stronę Julka... Gratuluję, przyrzeczenia dotrzymam, powiedziała tonem pewnego wzruszenia. Przeprosił ją jednak — zapowiedziano bowiem następny punkt programu — konkurs w skokach! Julek również stawał jako współzawodnik! — Zawadzki Stefan 34 metry z upadkiem!!! Czarski Zygmunt 32 metry bez upadku!!! — ogłaszał wyniki przez tubę jeden z kolegów. — Na skoczni zobaczono Julka — po chwili ujrzano jak pruł powietrze lotem ptaka — zniża lot — dotknął ziemi — 39 metrów bez upadku — donosił widzom głos z tuby, wśród burzy oklasków. — Znowu gratulacje i owacje, na które Julek dziwnie był nie czuły. — On czekał innego zaszczytu... Po definitywnem ogłoszeniu wyników, był na pierwszem miejscu zarówno w biegu, jak i w skoku. —

Całe towarzystwo ruszyło do „Halamówki"! Tu otoczony kolegami wszedł Zbigniewicz. — W obecności sędziów, oraz miejscowych mecenasów sportu narciarskiego, dokonywano wręczenia nagród. Julek otrzymał wspaniałą parę nikorów.

Jazz-band zagrał walca angielskiego... Julek wodził oczami po sali za Irmi... zobaczył ją, podszedł i poprosił... Irmi — jesteś zadowolona? Szepnął, prowadząc ostrożnie swą danserkę.. Tak, bardzo ci Juleczku jestem wdzięczna — zresztą wyczytał w jej oczach...! Napisz do mnie od czasu do czasu z Cieszyna, ja już jutro stąd odjeżdżam... Bawił ją, aż do samego końca zabawy. — Odchodząc uścisnął drobną rączkę, żegnając się... Nie zapomnę o tobie Julku, pa!...

W gronie kolegów udał się raz ostatni do schroniska, po bagaż. Ciągle jednak spoglądał w stronę „Halamówki".

W przedziale klasy III-ciej pociągu osobowego w stronę Lwowa, siedziała śpiewając wesoło, garstka powracających narciarzy ze Stożka. Wśród nich, Julek zamyślony spoglądał przez zamgloną szybę wagonu, na uciekające mu z przed oczu słupy telegraficzne, w takt posuwającego się naprzód pociągu... oddalającego go corazto, corazto dalej od... Irmi.

KOWALCZUK TADEUSZ VIII b. Państw. Gimn. w Bochni.

Praca społeczno-wychowawcza.

Zagadnienie, które tutaj mam rozważyć, jest myślą przewodnią prawie wszystktch stowarzyszeń społecznych. Ale nie tylko stowarzyszeń. Bo przecież młodzież Polski rozbiorowej, młodzież owiana naprawdę wielkim duchem patrjotycznym, grupowała się w stowarzyszenia ale w tajne związki i tam zastanawiała się nad tem jak rozwinąć pracę społeczną, aby po jej nitce dążyć do wychowania nowych pokoleń w duchu obywatelskim i polskim. W tej pracy społeczno-wychowawczej przyświecał jej jednak ideał piękny i wielki, jakim była „Niepodległość Polski". Ale z tym ideałem, chociaż był on wszystkim znany, musiała się ukrywać, przez co praca jej była bardzo krępowana.

My w wolnej i odrodzonej ojczyźnie nie potrzebujemy się z tego rodzaju pracą kryć, ale też z drugiej strony nie mamy tak wzniosłego ideału. Pewnie że nasz ideał t. j. chęć umocnienia Polski i stworzenia jej mocarstwowego stanowiska jest także bardzo szczytny, ale jak ta nasza praca społeczna wygląda, jak niema tam nic ideowego. Zato wszystkie prawie nawet minimalne nasze wysiłki zmierzają do zapewnienia nam jakiejś korzyści materjalnej. Zaiste praca społeczno-wychowawcza postępuje u nas na każdym punkcie czy to w stowarzyszeniach religijnych czy też w skrajnie świeckich więcej niż żółwim krokiem. Gdy zastanawiam się nad jej skutkami, dochodzę do przekonania, że nie ma ona prawie zupełnie w szerokich masach zrozumłenia i nie jest co do wartości należycie ocenioną. Tego nie można wytłumaczyć żadnym kryzysem, wytłumaczyć biedą czy przygnębieniem moralnem ale tylko nieświadomością i niezrozumieniem wartości tej pracy. A przecież po postępach i skutkach tej pracy można śmiało zadecydować o kulturze życia wewnętrznego danego narodu czy społeczeństwa.

Starszym ludziom trudno jest poczucie tej pracy wszczepić. Oni w innym duchu byli wychowani, ale młodzież „Niepodległej Polski" musi to zagadnienie, może najważniejsze dla społeczeństwa, zrozumieć i nagiąć się przychylnie do tej pracy. To też trzeba młodzież w duchu społecznym wychować, trzeba wcielić w nią potrzeby nie jednostki ale całego społeczeństwa, bo wtedy tylko zrozumie ona znaczenie tej pracy, od której narazie niejednokrotnie stroni. Mało kto także wnika w istotę nazwy praca społeczno-wychowawcza. Częstokroć pojmowana jest ona jeszcze zbyt ciasno i jednostronnie. Nie można tu tylko ograniczać się do pracy, lub do tak zwanej „pracy dla ludu". Oba te sposoby są zbyt szczupłe, a czasem i błędne, przedewszystkiem dlatego, że przypuszczają istnienie jakiegoś wychowawcy, kogoś kto stoi na poziomie uznanym za mniej lub więcej odpowiedni i wystarczający i czyje zadanie streszcza się wskutek tego do podciągnięcia kogoś innego na ten sam poziom. Nie o to przecież chodzi. Dzisiejsze położenie wszystkich prawie społeczeństw jest tego rodzaju, że nigdzie nie widać tego mniej lub więcej wystarczającego poziomu i to pod każdym względem od ekonomicznego począwszy a na artystycznym skończywszy. A przy tem każdy odczuwa, że podwaliną tej pracy samowychowawczo-ideowej musi być zdobycie nowej moralności, która jest źródłem sił ludzkich w każdej dziedzinie. I tu jest właśnie źródło zwracania się do pracy społeczno-wychowawczej, do tego zbiorowego samowychowania się w pracy, w inicjatywie, w odpowiedzialności. i to nie zapomocą formułowania mniej lub więcej wzniosłych zasad, ale przez praktykowanie wiary czy idei, przyjętej za swoją, w wysiłku dającym odczuć rzeczywisty grunt życia społecznego. Mamy budować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka. Tej budowy nie zaczniemy wznosić samym umysłem, samem myśleniem samemi ideałami, programami.

Nie wypisze się ich w samych książkach, nie wydysputuje na sejmach i zgromadzeniach politycznych. Budowa ta bowiem odbywa się przez wyrobienie charakterów i moralności, a te wartości można tylko wypraktykować; w pracy społecznej, codziennej na wszelkich polach, począwszy od pracy ekonomicznej a skończywszy na wszelkich zrzeszeniach ideowych jak i sportowych. W rytmie załatwiania i przepracowywania codziennych zadań wytwarzać się będzie atmosfera zrosłej z rzeczywistością moralności — moralności człowieka, który czuje jak w miarę wysiłku rzecz mu pod palcami rośnie, jak z jej wzrostem wzmaga się własna jego siła i swoboda, poczucie odpowiedzialności i zdolności do nowej inicjatywy.

W tej atmosferze moralnej człowieka, odczuwającego rytm pracy i odpowiedzialności, będzie możliwa budowa ideologicznej kopuły nad życiem konkretnem budowa nowej idei i światopoglądów — nowej wiary.

LICHTIG TEODOR, kl. VII a Państ. gimn. w Bochni.

J. Malczewskiego — „Zesłanie studentów".

(Opis obrazu według reprodukcji fotograficznej).

(Ciąg dalszy)

Tylko na tym podkładzie historycznym można rozpocząć analizę samego obrazu, gdyż tylko wtedy można się pokusić o jego zrozumienie.

A tak samo jak tło historyczne jest koniecznym podkładem dla obrazu jako całości, tak tło właściwe obrazu, jakoby dekoracja akcji jest integralną częścią obrazu, która niewątpliwie bardzo ważną w jego treści odegra rolę.

Wychodząc mianowicie z założenia, że artysta w tych już z góry zakreślonych sobie szczupłych ramach, zmuszony się widzi następnie wypowiedzieć

wszystko co myśli i nie mając tej swobody użycia tego nieprzerwanego potoku słów jakiemi się może posłużyć poeta dla odmalowania tej samej myśli, a więc nie mogąc jak poeta jeszcze kilka wierszy lub nawet kilkanaście stronic napisać, musi na tym stosunkowo małym kartonie czy płótnie w sposób możliwie najbardziej zrozumiały, do przekonania przemawiający i niedopuszczający innego zrozumienia myśl swoją odmalować, każdem pociągnięciem swego pendzla pewne główne lub uboczne znaczenie nadaje, wkładając w nie nieraz treść słowem ale i często całemi zdaniami dopiero wypowiedzieć się dającą musimy dla zrozumienia obrazu jako akcji najpierw wyczytać myśl w jego tle umieszczoną.

I pierwsze pytanie jakie się nam tu niewątpliwie nasunąć musi, gdy rzucimy okiem na obraz p. t. „Zesłanie studentów“ będzie pytanie: a gdzież to jest, gdzież to znajdują się ci młodzi bohaterzy, a z nimi te wynędzniałe chłopczęta, czy są oni już u kresu swej wędrówki na mroźnych stepach Sybiru, czy może dopiero wyruszyć mają w tą dreszczem trwogi przejmującą drogę, czy też może już od tygodni czy miesięcy pędzi ich bezlitosna nahajka lub kolba karabinu ciągle dalej i dalej od ukochanej ojczyzny a teraz widzimy ich podczas odpocznku na jakimś etapie?

Odpowiedzi na to pytanie naturalnie w samym tylko obrazie szukać musimy, a znajdziemy ją niewątpliwie, bo przecież to wykończony obraz mistrza Malczewskiego a więc każda kwestja mistrzowskiego też w nim doznała załatwienia.

Ale dla znalezienia tej odpowiedzi musimy się posłużyć jakąś metodą, a przecież na jedno pytanie nasuwa się tutaj większa ilość odpowiedzi, posłużmy się więc metodą polegającą na wyłączeniu odpowiedzi mniej trafnych.

Już pytanie postawiłem w ten sposób; czy są oni już u kresu wędrówki, czy dopiero w tę straszną mają wyruszyć drogę, czy wreszcie na etapie się znajdują? Ktoś widząc mapę imperjum rosyjskiego, ławę i obszerną podłogę, a wiedząc że o zesłanie studentów chodzi, zechce swą odpowiedź właśnie tym ostatnim faktem poprzeć i odpowie, że to klasa szkolna, a znajdujący się tu studenci mają dopiero rozpocząć katusze zesłania, Że myliłby się ten ktoby tak twierdził, wynika choćby z tego, że nie wdając się w szczegóły, jak stan butów i t. p. o których ze względu na mały rozmiar i niedokładność reprodukcji (o czem już wspomniałem), zbadać nie mogłem i pomijając nawet porozrzucane po podłodze resztki ryby jakoteż całą rybę, flaszkę z wódki i chleb a więc zwyczajne pożywienie Moskali w czasie podróży po Syberji, pomijając pęk kluczy, które artysta obok tych resztek pożywienia również na samym pierwszym planie pomieścił, gdyż wymalowaniem tych kluczy artysta wyraził jeszcze inną głębszą myśl, a nawet pomijając śpiących żołdaków, nacoby oni sobie nawet w armji rosyjskiej w mieście garnizonowem lub jego pobliżu mając pilnować zesłańców nie pozwolili, nie można pomyśleć o artyście tej miary co Malczewski, żeby nawet drobne pociągnięcia pendzla bez celu i głębokiego zastanowienia poczynił a tem bardziej musimy przypisać odpowiednie znaczenie mapie zajmującej prawie że całą ścianę sali, w której znajdują się zesłańcy.

Cóż więc chciał artysta przez wymalowanie tej mapy powiedzieć? Czy chciał tylko pokazać ten ogrom tego caratu, czy była inna potrzeba? czy tylko poto, aby zamieszczając postacie zesłańców na całej długiej Syberji na mapie widzianej wskazać, że wszystkie katorgi syberyjskie roją się od męczenników idei wolności, czy tylko poto wymalował tę mapę aby wyrazić to serce chłopięcia krające się z obawy na ten ogrom Syberji patrzącego jak daleko jeszcze zapędzisz mnie ty kacie od mej ojczyzny, rodziców, braci i sióstr, czy też artysta za pomocą tej mapy chciał też wskazać na miejsce, w którem zesłańcy się znajdują. Czy przyjąć należy, że artysta tak zupełnie bezcelowo oparł głowę śpiącego na ławie w siedzącej pozycji zesłańca o mapę już za morzem Kaspijskiem, które w całości wymalował, czy raczej nie należałoby przyjąć, że i to miało na celu zaznaczenie, że ci zesłani studenci już za linją tego morza się znajdują.

A więc czy znajdują się już u końca swej wędrówki? Twierdzącą na to pytanie odpowiedź też należy odrzucić opierając się tak na całości obrazu jak i na jego fragmentach. Gdyby już byli u celu, uzyskaliby już tą względną wolnosć jaka zesłańcom nie przykutym do katorgi na wygnaniu służyła, a więc nie pozostawaliby już pod bezpośrednią strażą, mieliby już pewnego rodzaju zadomowienie, natomiast obraz wskazuje całkiem wyraźnie o całkiem tylko chwilowem pomieszczeniu, zapewne tylko dla przepędzenia jednej nocy, świadczą o tem choćby te marne tobołki i kije podróżne.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KWAŚNIEWSKI ZDZISŁAW VIII a. Państw. gimn. w Bochni

W odpowiedzi na artykuł dyskusyjny z Nr. 4.

Kino a teatr.

Kolebką teatru jest starożytność, ojcami jego zaś są znani dramaturgowie greccy: Sofokles, Ajschylos i Eurypides. Scena ówczesna była jednak zupełnie odmienną od dzisiejszej. Godne teatru była tylko tragedja lub dramat. Dopiero później zaczęto grywać komedje. Już w zaraniu rozwoju teatru dramaturgowie nałożyli nań pęta, zdawałoby się nie do zerwania, któremi to więzami była jedność miejsca, akcji i czasu. Istotnie teatr tak skrępowany nie mógł się rozwijać. Dopiero pierwszy Wiliam Szekspir zerwał te pęta krępujące teatr. Mimo to scena ówczesna nie zadowoliłaby bynajmniej dzisiejszej publiczności. Była zbyt prymitywną. Teatr podlega nadal różnym ewolucjom i w czasach przedwojennych staje na wysokości zadania, gdy wtem na horyzoncie sztuki pojawia się kino, jeszcze w powijakach, a już poważnie zagrażające teatrowi. Znaczenia jego z początku nie doceniano, gdy tymcza-

sem dzisiejszy film zawojował odrazu całe społeczeństwo tak, że teatr zaczął podupadać i zdawało się, że zupełnie runie. Człowiek wyczerpany po pracy chętniej spieszył do kina niż do teatru. Tam nie trzeba było myśleć, wszystko w sposób łatwy podawano widzowi. Kino stało się odrazu popularne, przedstawiało bowiem ludziom każdą dziedzinę życia, czego teatr stanowczo nie potrafił. Dzięki różnym trickom atelièr filmowego, kino pokazywało poprostu cudowne rzeczy jak: skakanie po domach, drapanie się po murach, chodzenie po suficie i t. d. Kino miało większe pole do popisu i też je całkowicie wyzyskało, zdobywając sobie niezliczone zastępy zwolenników. Teatr więc chcąc istnieć, musiał się odrodzić. Odradzanie jego przypada na okres powojenny. Po wojnie nastąpił krótki okres pomyślnej konjunktury teatru. Był on uzasadniony tem, że powstała reakcja powojenna, a mianowicie powrót do sztuki. Trwało to jednak krótko. Publiczność wkrótce zaczęła się odwracać od teatru w tempie, które można było wytłumaczyć tylko ogólnem zubożeniem. Liczne rzesze widzów nie znalazły widocznie w teatrze tego, czego szukały, a dramat wydał się zbyt blady widzowi, który miał przed oczyma dramat i krwawe odblaski pożaru Europy. Na ujęcie tej tragedji, którą świat przeżył, było jeszcze za wczas.

„Was soll im Gesang leben
Muss im Leben untergehen“ *(Schiller)*

Zaczęto więc w teatrze szukać zabawy, przy której słowo, jako wyraz myśli, utracić musiało swe stanowisko i ustąpić większą część jego ruchowi i gestom. Lecz teatr nie mógł nadążyć stawianym żądaniom, ani też wytrzymać konkurencji z kinem, które dzięki swej giętkości i bogactwu techniki, dzięki odczuciu pragnień ludzkości, stało się codzienną jej strawą, Teatr uczuł się wobec kina bezradne. Jeszcze raz stanął jednak do walki i reformę swą zaczął od dawania widzom lekkiej zabawy. Kino jednak i na tym terenie okazało się nie do pobicia, bo rozporządzało środkami dla teatru nieosiągalnemi. Toteż wszelkie te usiłowania spełzły na niczem. Dopiero w ostatnich czasach reforma teatru zrob-ła ważny krok naprzód redukując zupełnie monologi, a djalogi zmniejszając do mininum. Teraz więc kiedy maximum akcji umieszczone jest w ruchach, teatr ma broń, którą skutecznie może walczyć z kinem.

KRYSTYNA DRAGANÓWNA, kurs V Sem. w Bochni.

Sprawozdanie z wycieczki V kursu do Żegociny.

(Dokończenie)

Tej nocy jeszcze wielki był ruch na scenie. Nadobne artystki postawiły na swojem, odnosząc zaiste wielki sukces. Cała scena drżała, grożąc lada chwila zawaleniem. Nic dziwnego, marne deski niezdolne były udźwignąć takiego nadmiaru talentów, zasilanego plecakami pełnemi przeróżnych dobrych rzeczy. Z nich to unosiła się w powietrzu drażniąca podniebienie widowni woń pieczystego, przeróżnych delikatesów zmieszana z pyłem jaki się unosił z pola bitwy. Albowiem„ artystki“ tej nocy wyprawiały jakieś niesamowite harce. Zdawało mi się, że dzieje się to na Łysej Górze. Gromada czarownic jakby opętana w podrygach rozrzucała dookoła masę słomy, z której wydobywały się całe chmury śmiecia i pyłu. W takiej to miłej atmosferze, ukołysał nas wreszcie do snu, po długich wysiłkach strudzonych, Morfeusz.

Na trzeci dzień naszego pobytu w Żegocinie zawitał do nas ks. prof. Zając wraz z profesorem Kucem. Zaglądnęli do naszej panieńskiej sypialni do kuchni i odjechali wraz z panią Opiekunką. Zostałyśmy same, niczem sierotki. Nadomiar złego nadszedł z kuchni komunikat, iż na kolację podany będzie do stołu bardzo apetyczny-humor, jako potrawa kryzysowa. O ironjo! Dla każdej porcja humoru. Wszystko byłoby bardzo piękne, ale gdyby ten humor był podany na deser, ale na puste żołądki? Skandal; Nic też dziwnege, że jeszcze tego samego wieczoru skarżyły się artystki ze sceny, że ponętne, wonne i hoże ich kurczątka powędrowały gdzieś na przechadzkę. Ja się też nie dziwiłam; wieczór był tak piękny, a muzyka w naszych żołądkach grała tak zamaszystego marsza weselnego, to znów jakąś melancholijną sonatę księżycową, że im biedactwom ciężko i duszno wydało się w plecakach i ruszyły w świat krokiem śmiałym i wesołym. Mała zaledwie garstka koleżanek miała zaszczyt i szczęście widzieć je zbiska, reszta zadowolić się musiała jeno smakiem. Ta ostatnia noc w Żegocinie, była stosunkowo dość znośna. Już około 12-tej zapanowała względna cisza, przerywana mniej lub więcej głośnemi westchnieniami, rozhoworem gadatliwych dziś kiszek, oraz żałosnemi pieniami pogrzebowemi. Wśród tych dziwnych odgłosow usnęłyśmy na dobre. Zbudziłyśmy się o 5-tej. — O 6-tej, zgłodniałe, zziębnięte udałyśmy się do kościoła prosić Boga o zmiłowanie i szczęśliwy powrót. O gódzinie 9·15 z wielkim trudem ulokowałyśmy się na trzech furmankach i ruszyłyśmy w powrotną drogę. Teraz znowu urządziłyśmy wyprawę na karpiele, która o mały włos nie zakończyła się tragicznie, gdyż właściciel zobaczywszy niepożądanych gości na swym zagonie, zaczął nas gonić przy pomocy tęgich parobków. Ale od czego P. O. S.? Zanim chłop zbliżył się się do drogi, za nami pozostała już jeno wielka smuga szarego pyłu. Bieg był rzeczywiście maratoński, ale grunt, że wyszłyśmy z opresji bez najmniejszego znaku na ciele. Na duszy też, gdyz pchnęła nas do tego konieczność, byłyśmy głodne jak wilki i nie było innej rady.

Na godzinę 12·15 byłyśmy w Bochni. Tu nastąpiła rewja naszych członków, czy których nie brakuje, lub czy znajdują się na właściwem miejscu. Naogół wszystko było w porządku, Zmęczone powlekłyśmy się do domu.

Tak to zakończyła się nasza 3-dniowa wycieczka do Żegociny, po której zostały nam miłe wspomnienia beztroskich chwil.

WIERSZOKLECI

ARTUR FERBER kl. V. Państw. gimn. w Bochni.

Smutno mi Boże!

Smutno mi Boże gdy się spać położę,
I lekcji nie zrobię, choć dużo zadane:
Leżę już w łóżku, (a twarde mam łoże
— I źle posłane...)
Że czwórę ja jutro dostanę może,
— Smutno mi Boże!

Tyle na jutro zadane z Polaka!
Z łaciny słówka, powtórka z historji, ach Boże!
A może lekcja upiecze się jaka?
Czy ja wiem — może?
Że przed profesorami codziennie się korzę
— Smutno mi Boże!

Mam przyjaciela prawego człowieka,
Trzeźwy jest zawsze, ma duże zalety,
Ma też i wadę: z godziny ucieka,
Tak jest niestety!
Że przed nim czasem głąb serca otworzę
— Smutno mi Boże!

Ja czasem mówię: uczmy się łaciny,
On spojrzy na mnie jak na swego wroga...
Bo jemu w głowie zabawy, dziewczyny,
Z woskiem podłoga!
Choć wiem, że się poprawi w Zatorze,
— Smutno mi Boże!

Nie myślcie jednak, że go chcę poniżyć!
Broń Boże! Ależ czy mógłbym... ja jego...
Albo też jego personie ubliżyć —
Czy coś takiego...
Że jednak czasem, na niego ja łożę
— Smutno mi Boże!

I gdy tak myślę, sen mię szybko zmorzy,
A rzeczywistość zmieni nagość nudną —
Pokaże cuda... słyszę głos czyjś hoży:
— Buczą na siódmą!
I gdy opuszczam swoje twarde łoże,
— Smutno mi Boże!

PIOTR OCHOŃSKI I a. Państw. gimn. w Wieliczce.

Pociąg

Szyna dzwoni o stal bije
Pociąg jedzie, a wiatr wyje.
Jedzie, jedzie i bez koni;
A wiatr wieje — szyna dzwoni.

Jedzie, jedzie — prędko, dziarsko,
Komin bucha dymem, parska,
Syczy głośno swe: szu! szu!
Głośno sapie, brak mu tchu!

Szyna dzwoni, a wiatr wyje,
Pociąg wielką dal przebije.
Zwolnił nieco tu na moście:
Spocznie trochę — moi goście...

JAN SPYTKOWSKI kl. VIII. Państw. gimn. w Wieliczce.

Zlatuje rój białych motyli

Smutno, pusto i tęskno dokoła.
W ukojeniu — uciszeniu duch natury cały
Zasnął, jakby go skrzydła Pokoju Anioła
Musnęły i tchnieniem niebiańskiem owiały.

W letargu martwa śpi przyroda,
Modlitwę szepcąc wiekuistą — świętą.
Szemrze lodami osnuta woda
Pieśń tęskną — dziwną — niepojętą.

Zasiadła na zimowych lodów tronie
W białej brylantami oświeconej szacie,
W migocącej złocistej koronie,
W królewskim przepychu — majestacie
Nad nią girlandy gwiaździste,
Jak lilja białe, jak kryształ czyste...

A kiedy rąbek swej szaty
Królewna z obłoków wychyli,
Sypią się śnieżne kwiaty:
Zlatuje rój białych motyli;

I w pląsach dziecinnych, wirując nad ziemią,
Kołyszą się, tańczą wokoło bez końca;
A kiedy się zmęczą, siadają i drzemią,
Aż je wiosenny zbudzi uśmiech słońca

Owiana głuchą ciszą śpi
Ziemia — ubrana w białe kwiecie.
O wiośnie cudnej marzy śni
I duma o ciepłem lecie.

I cicho — smutno, tylko pacierz skargi
Płyną w zaświaty tam, gdzie przedwieczny Jehowa...
I cicho — tęskno, tylko drżące wargi
Szepcą niezrozumiałe — niepojęte słowa...

Ale czemuż na bladych zimnych licach
Usiadły jak perły łzy wierne srebrzyste,
Zastygła lodowata cierpień, mąk kostnica
I piętno wycisnęła twarde wiekuiste?

STEFANJA RUTKOWSKA kl. V Gimn. Pryw. w Bochni.

Poznaj swój kraj.

„Poznaj swój kraj — oto hasło, które 50 lat temu rzucił między młodzież pionier krajoznawstwa polskiego, Aleksander Janowski i które po dziś dzień jest dewizą tego stowarzyszenia.

Spory szmat czasu upłynął od tej chwili. Polska zerwała ciężkie kajdany, złączyły się rozerwane przez nieprzyjaciół ziemie nasze, zmieniły się warunki naszego bytu politycznego, ale aktualność i znaczenie tych słów, 50 lat temu rzuconych, nie zmieniła się.

Wszyscy uczymy się geografji, z chęcią urządzamy wycieczki, (zwłaszcza w czasie na lekcje przeznaczonym) ale czy to już daje nam dostateczną znajomość kraju?

Kraj nasz ma 389.000 km², szóste miejsce w Europie. Ludność jego przez ostatni wiek żyła w odmiennych warunkach politycznych. Inaczej kształtowało się życie, inne przyzwyczajenia posiadał Pomorzanin, inne inne Krakowiak, inne Mazur z pod Warszawy. 150 lat pod zaborami, 150 lat innej szkoły musiało wywrzeć swój wpływ. To też do dziś dnia słyszymy o „królewiakach", o „Galicji", „pieronach", lub, warszawistach". A przecież są to mieszkańcy jednego państwa, ludzie jednej narodowości, tylko przez dłuższy czas rozdzieleni sztucznemi granicami politycznemi, a więc nie znający się dobrze.

Ideałem jest aby każdy obywatel Rzeczypospolitej czuł się w każdym jej kącie jak u siebie w domu i, aby ją miłował bezgranicznie, ale świadomie. Miłość ojczyzny powinna być miłością, która potrafi zobaczyć wszystkie dobre strony, uwypuklić je, pokazać innym w razie potrzeby, ale równocześnie — miłością, która widzi i wszystkie złe i ujemne cechy. Nie odwraca się jednak od nich, nie zamyka oczu, nie łamie rąk, tylko wytrwale dąży do ich usunięcia. Taką silną i świadomą miłość osiągniemy tylko przez dokładne, bezpośrednie poznanie naszego kraju.

Polska, w porównaniu z innemi państwami Europy, czy świata, nadzwyczaj bogatą nie jest. Posiada jednak wielkie bogactwa i równocześnie wielką rozmaitość tych bogactw i to zarówno w świecie mineralnym jak roślinnym, zwierzęcym i ludzkim. Jednak bogactwa większego znaczenia drzemią w duszach poszczególnych jednostek, czy grup ludzkich. Na wschodzie i zachodzie, północy czy południu Polski spotykamy się z wieloma oryginalnemi motywami sztuki ludowej, z odrębnemi zwyczajami, ze swoistem ujmowaniem rozmaitych zjawisk życiowych. Każda prawie dzielnica ma swoje bezcenne bogactwa, z których wytwarza się wspólna kultura narodowa.

Dokładnie te skarby poznamy tylko przez wędrówki po kraju (obozy „włóczęgi", o których wspomniał kolega z Wieliczki), przez bezpośrednie obcowanie z ludźmi, przez poznawanie w ich rodzimem otoczeniu wytworów ducha i rąk, czy to będzie wieś, czy miasto.

Wędrujmy więc po kraju, zbierajmy skarby hojnie po ziemi naszej rozsiane, ogrzejmy je gorącem uczuciem umiłowania całej Ojczyzny i całego narodu, a przetopią się one w jednolity szlachetny kruszec kultury narodowej.

KRONIKA

(J. F) **WIECZÓR KOLEND.** Dnia 29. I. zorganizowała klasa 1 b imprezę p. t. „Wieczór kolend". Wieczór ten udał się w zupełności. Całość jego podzielona na trzy części wykonana w barwnych kostjumach była ślicznem widowiskiem. W pierwszej części usłyszeliśmy dwie kolendy w wykonaniu chóru mieszanego. Część druga wykonana była w kostjumach ludowych. W części tej partje solowe wykonali: kol. Szlamkówna i kol Gnoiński. Część trzecia nosiła tytuł w „Szopce". Wykonana była przy świetle reflektorów. W ciągu całej imprezy akompanjowała „trójka muzyczna". Z wielkim uznaniem podkreślić należy sprawność w wykonaniu programu.

RECENZJA Z OPŁATKA GIMNAZJALNEGO. Dnia 26. I. b. r. odbył się w auli gimnazjalnej opłatek urządzony staraniem samorządu szkolnego. Na program złożyły się! tradycyjne łamanie się opłatkiem recital skrzypcowy kol. Olszowego przy akompanjamencie kol. Skorupy, następnie deklamacja kol. M. Dutkówny p. t. „Przedwiośnie", w dalszym ciągu kol. Przybyłowicz 7 b i kol. Gut 7 a odśpiewali kilka krakowiaków na tematy aktualne. Pierwszy raz w naszem gimnazjum zobaczyliśmy i usłyszeliśmy, „Szopkę" w wykonaniu braci Iapołłów. Całości dopełniły produkcje muzyczne Jazzu M. Zachary przy dźwiękach którego uczniowie i uczenice mieli możność wykazać swoje zdolności taneczne.

Dla Czytelników „Echa" ogłasza Redakcja

KONKURS LITERACKI

na nowelę, recenzję, krytykę i t. p.

Forma i temat pracy dowolny.

Za najlepsze prace przyznaje Redakcja 3 nagrody a mianowicie:

1) 2 książki (Kruczkowskiego „Kordjan i Cham" oraz tom poezji Stafta)
2) alabastrową kasetkę
3) roczną prenumeratę „Echa"

Prace konkursowe należy składać w zaklejonych kopertach do 5 marca 1935 r.

Opiekunowie Komitetu red.: Dr. U. Wińska i prof. Z. Zelek. Redaktor nacz. Lichtig Teodor.

Komitet Red.: Stasiakówna Olga, Munianka Janina, Wojtaszek Zdzisław, Klejdysz Juljusz, Kowalczuk Tadeusz. Administ.: Kruczek Marjan

Drukarnia „SECESJA" w Bochni.